

Maria Kownacka

Plastusiowy Pamiętnik

Spis treści

1. [Dlaczego nazywam się Plastuś.](#)
2. [O pamiętniku w czerwonym kajeciku.](#)
3. [O kleksiku z kałamarza, co na nikogo nie zważa.](#)
4. [Plastusiowa z kałamarzem rozmowa.](#)
5. [Wiele krzyku o wycieraczkę w piórniku.](#)
6. [O Tosi, o Bronku i o mysim ogonku.](#)
7. [O moim biednym nosie i o szkaradnej Zosi.](#)
8. [O Zosi niszczycielce — historia smutna wielce.](#)
9. [O tem, jak to z porządkiem było — ale dobrze się skończyło.](#)
10. [O farbach i o kłopocie wielkim, czy można pisać pendzelkiem.](#)
11. [O chińskiej awanturze, o pendzelku i o piórze.](#)
12. [Pudełeczko — podnieś wieczko!](#)
13. [Historja niewesoła wcale, jak do klasy przyszły lale.](#)
14. [O Klarci ze szmatki i o sukience w kwiatki.](#)
15. [O tem, co zbroił Jacek i o nosie jak placek.](#)
16. [O wyprawie cudnej na wyspy bezludne.](#)
17. [O kwiatkach w szkole i o kaktusie, co kole.](#)
18. [Historja cała o porządku i o strzałach.](#)
19. [O tem, jak kreda wytrzeć tablicy nie da.](#)
20. [Jak się ze mną poznali ci, co w książkach mieszkali.](#)
21. [O tem, jak od Łodzi dostałem samochodzik.](#)
22. [Kogo się pantofel boi i o tem, co Fikuś nabroił.](#)
23. [Bawimy się w chowanki — same niespodzianki.](#)
24. [O sreberku, o złocie i o wesołej robocie.](#)
25. [Dobra nowinka — w szkole choinka.](#)
26. [O tem, jak mnie szkaradnie łobuz z choinki kradnie.](#)
27. [O mojej smutnej doli u Witka w niewoli.](#)
28. [O Witku, o zbytku, o oparzeniu i o Tosi ogłoszeniu.](#)
29. [O tem, jak się to staje, że mnie Witek Tosi oddaje.](#)
30. [Dużo radości i krzyku, że znowu jestem w piórniku.](#)

Dlaczego nazywam się Plastuś.

Jestem malutki ludzik z plasteliny.

Dlatego na imię mi Plastuś.

Mam śliczne mieszkanie: oddzielny drewniany pokoik. Obok mnie w pokoiku mieszka tłusciutka, biała guma. Ta guma nazywa się „myszka”.

A zaraz koło gumki mieszkają cztery błyszczące ostre stalówki. A z drugiej strony w długim korytarzu mieszka pióro, ołówek i scyzoryk.

Z początku nie wiedziałem, jak się nasz dom nazywa. Teraz już wiem: piórniki. Naszą gospodynią jest mała Tosia.

Na lekcji rysunków siedziałem na ławce w rowku koła ołówka. Ołówek mi opowiedział, skąd się tu wziąłem.

To było tak:

Na pierwszej lekcji, zaraz po wakacjach, było lepienie z plasteliny. Pani rozdała dzieciom zieloną i czerwoną plastelinę i dzieci lepiły, co same chciały. Bronka ulepiła gniazdo z jajeczkami; Wicusz ulepił grzybki; chłopcy z pod okna ulepiли samoloty, a Tosia ulepiła mnie — takiego malutkiego ludzka.

Ja mam duży, czerwony nos, odstające uszy i zielone majteczki. Wszyscy powiedzieli w klasie, że jestem śliczny.

Tosia mi zrobiła ołówkiem oczy i zaraz zacząłem patrzeć na wszystkie strony. A jak Tosia przylepiła mi uszy, to zaraz zacząłem słuchać, co się w klasie dzieje.

I teraz wszystko widzę i słyszę, i mieszkam sobie w Tosinym piórniku.

O pamiętniku w czerwonym kajeciku.

Pióro i stalówka nie lubią lekcji rysunków, bo muszą siedzieć w piórniku.

A Tosia, ołówek i scyzoryk, i guma myszka, i ja, Plastuś, najlepiej lubimy rysunki.

Na lekcjach rysunków jest okropnie wesoło, bo wszyscy wyskakujemy z piórnika. Ołówek i guma latają po papierze: co ołówek narysuje, to guma zetrze.

Ołówek ciągle sobie nos łamie, a scyzoryk: ciach... ciach... ciach... musi mu nos zaostrzać. A ja siedzę w rowku koła kałamarza i przyglądam się.

Wczoraj były wycinanki; to jeszcze zabawniejsze.

Wyskoczyły z torby błyszczące nożyczki i kolorowe papiery. Tosia cięła papierki na kawałki i naklejała. To było bardzo ładne.

A potem zostało dużo kawałków niepotrzebnego papieru. Ja ten papier pozbierałem i poskładałem.

Scyzoryka poprosiłem, to mi go obciął.
Stalówki poprosiłem, to mi go przedziurawiła.
Niteczkę poprosiłem, to mi go przewiązała. I mam kajecik taki, jak ma Tosia.
Mój kajecik ma w środku białe kartki, a okładkę czerwoną. Mój kajecik jest taki duży, jak Tosi paznokieć, i leży w moim piórnikowym pokoiku na samym dnie.
A potem pozbierałem wszystkie połamane noski od ołówka i piszę teraz niemi w kajeciku swój pamiętnik.
Będę opisywał wszystko, co się u nas w szkole dzieje.

O kleksiku z kałamarza, co na nikogo nie zważa.

Dzisiaj rano Tosia otworzyła piórnik.
Ołówek podskoczył, bo myślał, że go Tosia wyjmie. Guma-myszka podskoczyła, bo myślała, że ją Tosia wyjmie.
A Tosia nie wyjęła ani ołówka, ani gumy-myszki, tylko... pióro!
Wyjęła Tosia zielone pióro.
Stalówki zaraz się napuszyły — czekają, którą Tosia wybierze?... Każda chce być pierwsza.
Wyjęła Tosia złotą stalówkę, zasadziła do pióra i mówi:
— Tyś stalówka ze złota, będziesz ładnie pisała.
Stalówka: skrzypu... skrzypu... gryzdu... gryzdu po papierze smaruje. A co się ruszy, to kulfona usadzi. A co się posunie, to o papier zawadzi. A co ją Tosia przycisnie, to z niej atrament pryśnie.
Tosi pot na czole wystąpił:
— Oj, lepiej było pisać ołówkiem!
A ołówek wysadził z piórnika łepkę w czerwonym kapeluszu i woła do pióra:
— Choć masz stalówkę ze złota, bazgrzesz, jak kura pazurem koło płota!
Ale pióro na to nie zważa, tylko: skrzypu... skrzypu... gryzdu... gryzdu...
pisze coraz lepiej.
Już prawie pół strony zapisało.
Aż tutaj, na samym środku stronicy — hyc! ze stalówki czarny, brzydki kleksik!
Zrobiła się awantura:

Pzyleciała na ratunek różowa bibuła: piła atrament, piła, sama się uczerniła — nic nie pomogło.

Przyleciała na ratunek guma-myszka: tarła... tarła... cały ogonek sobie zdarła — nic nie pomogło...

Kleks jak siedział, tak siedzi, czarnym okiem na wszystkich łypie. Czarny język wszystkim pokazuje i woła:

— Jestem kleksik z kałamarza, co na nikogo nie zważa!...

A ołówek zerka z piórnika i cieszy się, że lepszy od pióra, bo nigdy kleksików nie robi.

A biedna Tosia płacze i płacze, że jej kleks stronicę zepsuł. Co tu robić?

Plastusiowa z kałamarzem rozmowa.

Tosia płacze i płacze...

Co tu robić?...

Nikt się nie odważa iść do kałamarza — ja się odważyłem.

Myślę sobie — raz kozie śmierć!...

Stanąłem przed kałamarzem, ukloniłem się pięknie: szastnąłem lewą nogą w prawą stronę, szastnąłem prawą nogą w lewą stronę — nachyliłem się nad nim i powiadam grzeczniutko:

— Mości kałamarzu, pilnuj atramentu, żeby nam w zeszytach nie robił zamętu!...

A tu atrament: bulgu... bulgu... bulgu... aż zakipiało w kałamarzu.

Więc się okropnie zląkłem i już chciałem uciekać, ale nic, powtarzam jeszcze raz, jeszcze grzeczniej:

— Panie kałamarzu, pilnuj twych kleksików, żeby nie niszczyły Tosi zeszytików...

A kałamarz: huru... buru! nasrożył się okrutnie i wrzasnął:

— Mości Plastusiu! Pilnuj swojego wielkiego nosa! Nie wsadzaj go w kałamarze, bo ci się zaraz umaże!

A ja nic, tylko mówię jeszcze raz, jeszcze grzeczniej, że Tosia płacze i płacze o te kleksiki i żeby co poradził.

A kałamarz na to:

— Że Tosia jest beksa, to nie pomoże na kleksa. Niech się uczy pisać ładnie, to kleksik z pióra nie spadnie!

Więc mu podziękowałem za radę, ukloniłem się grzecznie: szastnąłem lewą nogą w prawą stronę, szastnąłem prawą nogą w lewą stronę i wróciłem do piórnika.

A tu wszyscy w śmiech: Ha... ha... ha i ha... ha... ha!...

— Patrzcie, patrzcie, co się święci, Plastuś ma nos w atramencie!

Ja się przeglądałam w nowej stalówce, a mój piękny nos, co go tak ładnie wycieram, całutki umazany na czarno...

Prawdę powiedział ten kałamarz...

Wiele krzyku o wycieraczkę w piórniku.

A tu wraca pióro... atrament ze stalówki aż kapie.

Umazał się ołówek, umazała się guma-myszka, umazały się stalówki, umazał się kto żywy w piórniku i to nie nos — a cały.

A ja się z nich śmieję od ucha do ucha:

— A widzicie, nie kpjicie z cudzej biedy.

Sięgnęła Tosia po ołówek i umazała sobie palce. Zajrzała do piórnika i za głowę się złapała.

Tego już było za wiele.

Co tu począć z tym atramentem?...

Ale Tosia na wszystko znajdzie radę.

Poprosiła do pomocy igłę, nitkę i błyszczący napaścerek. Wzięła śliczne kolorowe gałganki.

Szyła... szyla... wycinała. Uszyła wycieraczkę do pióra.

A ta wycieraczka jest jak książeczka. Ma dwie kartki niebieskie i dwie kartki czerwone, a brzegi wycinane w ząbeczki.

Wszyscy w piórniku krzyczeli, każdy chciał, żeby koło niego mieszkała. Ja też krzyczałem, żeby mieszkała koło mnie, ale Tosia kazała jej mieszkać w kącie, pod stalówką od pióra.

Jak pióro wraca do piórnika, to wycieraczka wyciera stalówkę z atramentu, póki nie błyszczy jak złoto.

Teraz już atrament nikomu nosa, ani boków nie poplami.

Jaka ta nasza Tosia mądra!

O Tosi, o Bronku i o mysim ogonku.

Muszę dziś trochę napisać o Tosi.

Tosia ma czarne oczy — takie jak moje.

Tosia ma nosek — nie taki duży, jak mój, tylko taki sobie zwyczajny nosek, ale niegorszy.

Tosia ma dwa uszka, nie takie piękne i odstające jak moje, ale też niegorsze.

A za temi uszkami Tosia ma dwa czarne warkoczyki.

Takich warkoczków to ani ja nie mam, ani nikt. Te warkoczyki to są najładniejsze. Sterczą każdy w inną stronę, a na końcu mają kokardki.

Te kokardki od święta są rozmaite: czerwone i zielone, a na codzień granatowe.

Dzisiaj rano to się pokłóciłem z tą niemądrą gumą-myszką o Tosi warkoczyki.

Guma-myszka powiada, że Tosi warkoczyki to są, jak jej ogonek.

— Jakto, jak twój ogonek? — pytam:

— A tak — nie słyszałeś, jak Broniek z ostatniej ławki wołał na pauzie, że Tosi warkoczyki to są „mysie ogonki”?...

Więc się okropnie zezłościłem, zacisnąłem pięści i zawołałem:

— Czy miałaś kiedy czerwoną, zieloną albo granatową kokardkę na końcu ogonka?...

Guma-myszka się złękła i powiedziała, że żadnej nie miała.

— No widzisz — powiadam — to czemu się puszysz? Co Tosi warkoczek, to Tosi warkoczek, to nie twój ogonek!

Tosi warkoczyki są długie na palec i grube na palec i mają na końcu kokardki: czerwone, zielone albo granatowe!

Ja się kłóczę z gumą-myszką, a tu patrzę, Tosia siedzi i popłakuje. Już wysadziłem nogę z piórnika, żeby ją lecieć pocieszyć, a tu właśnie podeszła do niej pani i pyta, czego Tosia płacze?

A Tosia mówi:

— O mysie ogonki...

A pani zaczęła się śmiać i mówi:

— To wiesz, Tosiu, najlepiej je obciąć, bo to i czyściej, i zdrowiej, i nikt się z warkoczyków śmiać nie będzie.

Na drugi dzień ledwo zerknąłem z piórnika — widzę: Tosia ma warkoczyki obcięte!... Z początku żal mi się zrobiło, ale potem patrzę: Tosia ma grzyweczkę i równo obcięte włoski i takie puszyste, wymyte, i jeszcze jej ładniej niż w warkoczykach.

Więc zagrałem na nosie tej niemądrej gumie-myszce i zawołałem:

— A widzisz! Już niema Tosia mysich ogonków!...

O moim biednym nosie i o szkaradnej Zosi.

Dziś usiadła koło nas nowa koleżanka.

Ta koleżanka jest taka mała, jak Tosia, więc będzie siedziała z nami w pierwszej ławce. Tej koleżance na imię jest Zosia.

Jak tylko ta Zosia usiadła koło Tosi, zaraz zajrzała do naszego piórnika.

Ja głowę wysadziłem, żeby jej się lepiej przyjrzeć, a ona prast! Prędko piórnik zamknęła i mój śliczny nos mi przygniotła!

Tosia tyle razy piórnik zamykała i nigdy, nigdy nosa mi nie przygniotła!

Zacząłem okropnie płakać!

Tosia pewno usłyszała, bo otworzyła piórnik, wyjęła mnie i aż się za głowę złapała.

A tamta Zosia wstrętna aż się pokładała na ławce ze śmiechu!

Nos miałem spłaszczony jak placek, obu dziurkami do góry.

Tosia, widząc moje zmartwienie, dobrała jeszcze czerwonej plasteliny i dorobiła mi nos jeszcze większy i jeszcze piękniejszy.

Kiedy wróciłem do piórnika — wszyscy mi zazdrościli.

Potem ta Zosia poprosiła Tosi, żeby jej pożyczyła ołówka. Ołówek wcale nie miał ochoty iść do tej Zosi, ale Tosia go wyjęła, dała jej i zamknęła piórnik.

Położyłem się więc na moim pamiętniku i zasnąłem, a tu mnie budzą jakieś jęki.

Guma-myszka szturcha mnie w bok:

— Wstawaj, wstawaj, Plastusiu! Zobacz, co się dzieje z ołówkiem!

Zrywam się, patrzę: ołówek leży w swojej przegródce cały pogryziony...

Jego śliczne boczki całe pokiereszowane.

— Co ci się stało? — pytam.

A biedny ołówek jęczy:

— Oj!... oj!... to ta szkaradna Zosia.

Co ona ci zrobiła?...

— Pogryzła mi boczki i mój śliczny blaszany kapelusz, bo nie mogła zrobić zadania.

— A co jej na to Tosia powiedziała?

— Nic jej nie powiedziała.

Wszyscy w piórniku okropnie się oburzyli i powiedzieli, że nikt nie da się więcej tej Zosi pożyczyć!...

Guma-myszka zapiszczała.

— Co tu robić?...

— Ona was wszystkich poniszczy, jak mnie — zajęczał ołówek.

— Ja ją w palec zatnę! — zazgrzytał scyzoryk.

— My ją atramentem powalamy! — zatrzeszczały stalówki.

— Ja jej pošlę na kajet dziesięć kleksów! — zadudnił kałamarz.

— Ja jej zamażę wszystko w zeszytcie! — pisnęła guma-myszka.

Tylko biedny ołówek niczem się nie odgrażał, leżał bez ducha z pogryzionymi boczkami i z pogryzionym kapeluszem.

Podestaliśmy mu wycieraczkę od pióra, żeby mu było miękko, ale nic mu to nie pomogło. Boczki się nie zagoiły.

O Zosi niszczycielce — historia smutna wielce.

Dzisiaj rano, ledwo Tosia otworzyła piórniki, zaraz Zosia woła:

— Tosiu, dajno mi scyzoryk, odkręcę tę śrubkę w ławce!

Scyzoryk nie zdążył się nasrożyć, jak: zgrzyt... zgrzyt... już miał ostrze wyszczerbione o żelazną śrubkę.

Ale Zosia nie zważała na to, kręci dalej. Wtem ostrze ześlizguje się ze śrubki prosto w palec Zosi.

— A to wstrętny scyzoryk!

Zosia rzuciła go i owinęła krwawiący palec chusteczką.

Zaczął się ćwiczenie.

— Oj, nie mam stalówki! Tosiu, pożycz mi stalówkę!

Tosia zaraz pożyczyła stalówkę.

Zosia gryzmoli, nie widzi, że atrament pryska ze stalówki, że całe palce atramentem powalane.

W końcu przycisnęła tak mocno, że strach! Stalówka pękła.

A na stronicę skoczyło dziesięć kleksów.

— Oj! co to będzie?

Przyjdzie, pani będzie się gniewała.

Ale Zosia znowu:

— Tosiu! pożycz mi gumę!

Chwyła Zosia biedną gumę-myszkę: trze... trze... zamazała całą stronicę.

— To jest guma do ołówka, atramentu nią nie zetrzesz!

Więc Zosia w płacz, a Tosia pociesza:

— Nie płacz, Zosiu, powoli nauczysz się wszystkiego... nie będziesz kaleczyła się scyzorykiem, nie będziesz robiła kleksów w kajecie, nie będziesz łamała stalówek.

Wszyscyśmy w piórniku powiedzieli, że ta nasza Tosia, to jest za dobra...

O tem, jak to z porządkiem było — ale dobrze się skończyło.

Oj! co to było! co to było!

Pani pod koniec lekcji sprawdzała porządek w klasie. Otworzyła pani nasz piórnik i zawołała:

— Tosiu! ja myślałam, że ty jesteś porządna dziewczynka, a tu: scyzoryk wyszczerbiony, stalówka złamana, ołówek pogryziony, a guma-myszka i cały piórnik powalany atramentem!...

To dopiero ładny porządek!

Tosia stała ze spuszczoną głową i ani słówka nie powiedziała.

Ja zerwałem się, zacząłem machać rękami i chciałem krzyknąć, że Tosia nic nie winna, że to Zosia tak nas poniszczyła, że Tosia o nas dba, że dawniej u nas w piórniku było czyściutko jak w szklance.

Chciałem to wszystko powiedzieć, ale nic nie powiedziałem, bo nie mogę być skarżypytą i zresztą mam taki cichy, plastelinkowy głosik, że pani nicby z pewnością nie usłyszała. Ale wyrząłem z piórnik na Zosię i krzyknąłem, jak tylko mogłem najgłośniej i najgrubiej:

— Zosiu, czy ci nie wstyd?!

A Zosia siedziała czerwona jak burak i patrzyła na ławkę. Zdaje się, że było jej wstyd.

Dalej nie wiem, co się stało, bo Tosia zamknęła piórnik, ale scyzoryk podważył troszeczkę wieczko i znowu zacząłem wyglądać...

Patrzę, a tu pani znowu stoi przy nas i głaszcze Tosię po głowie i mówi:

— Ja wiedziałam, Tosiu, że z ciebie porządna i dzielna dziewczynka.

A potem pani odeszła, a Zosia z Tosią jak się ściskać, a całować, a beczeć... tylko im się głowy trzęsły.

Te dziewczyny to są beksy. Wolałbym, żeby Tosia była chłopcem. Ale możeby nie była taka dobra? Sam nie wiem, muszę się zapytać pióra.

Po tem wszystkim domyśliliśmy się w piórniku, że Zosia musiała się sama przyznać do winy. Może i ta Zosia będzie jeszcze niezgorsza.

Ano zobaczymy.

O farbach i o kłopotcie wielkim, czy można pisać pendzelkiem.

Oj, dzisiaj rano tośmy się wszyscy strachu najedli.

Wyjęła Tosia na chwilę ołówek. Ołówek wraca i woła do nas:

— Słuchajcie! co się stało — wielka niespodzianka! Zosia przyniosła Tosi na przeprosiny nowy piórnik!

Więc scyzoryk zaraz:

— Już na nas nie będzie chciała patrzeć!...

Więc guma-myszka i stalówki w bek i wszyscy pchamy się zobaczyć ten nowy piórnik.

I naprawdę stoi koło nas jakieś długie, czarne pudełeczko... obejrzałem je i mówię:

— To wcale nie piórnik, bo za płaskie!

— Jabym się wcale do niego nie zmieściła, piszczy guma-myszka.

No, pewno, taki tłuścioch!

— Ale co to może być?

— Ano zobaczymy — mówi scyzoryk — jakeśmy się wszyscy podsadzili — to trach, wieczko odskoczyło... A tam w środku — cudeńka: biała podłoga, a w tej podłodze dołeczki, a w tych dołeczkach mieszkają takie kolorowe guziczki jak przy Tosi sweterku. A każdy guziczek innego koloru: czerwony, żółty, niebieski, zielony — jak cukiereczki... A z boku długi korytarzyk, jak u nas w piórniku. A w tym korytarzyku mieszka taka niby obsadka, tylko że zamiast stalówki ma czuprynkę. Więc się pytam — kto wy jesteście?

— Ja jestem pendzelek!

— A my jesteśmy farby!

— A do czego?

— Do malowania.

— A co wy umiecie malować?

— Ja umiem malować niebo, chabry i twoje oczki!

— Ja maki, jabłuszka i twój nosek!

— Ja trawę, drzewa i twoje majteczki!...

Ale nie zdążyłem wszystkich się wypytać, bo przyszła Tosia ze szklanką wody, wzięła papier i pendzelek z korytarzyka. Pendzelek biegał, biegał po papierze. Namalował zielony domek, żółty płótek, czerwone kwiatki i niebieskie ptaszki.

A pióro aż zgrzytało z zazdrości, że tak nie potrafi. Wkońcu krzyknęło do pędzelka:

— Ale ty pisać nie potrafisz!

A pendzelek roześmiał się i zawołał:

— Zapytaj o to Chińczyka z malowanki.

O chińskiej awanturze, o pędzelku i o piórze.

Odkąd pendzelek tak zawołał o tym Chińczyku, to pióro nie mogło się uspokoić. Ciągle czekało na lekcję rachunków, żeby się z Chińczykiem zobaczyć.

Bo Chińczyk mieszka w zeszytcie od rachunków. Ma skośne oczy, żółtą buzię, długi warkocz i przytrzymuje cytrynową wstążeczkę na różowej bibule.

A tu jak na złość najpierw lekcja polskiego. W zeszytcie od polskiego tańczą na czerwonej wstążeczce krakowianka z krakowiakiem. Pytało się ich pióro o Chińczyka, ale oni ciągle swoje wkółko:

— „Krakowiaczek jeden miał koników siedem”...

Hołubce biją i wcale nie można się z nimi dogadać... A potem była pogadanka.

W zeszytcie do pogadanek mieszka zielona żabka pod czerwonym muchomorem na niebieskiej wstążeczce. Pytało się jej pióro o Chińczyka, ale żaba oczy wybałuszyła i coś po żabiemu zakumkała; pióro nic nie zrozumiało. Wreszcie dzisiaj pani przyniosła do klasy duże pudełko z kasztanami, Tosia otworzyła zeszyt od rachunków, a tu siedzi sobie na bibule Chińczyk i głową kiwa, więc pióro do niego:

— Chińczyku, Chińczyku, czy prawda, że pendzelki umieją pisać?

A Chińczyk się uśmiecha i głową kiwa:

— Tak, tak, tak, tak...

Więc pióro okropnie zmartwione wróciło do piórnika.

Tu dopiero wszyscy zaczęliśmy mu tłumaczyć, że dzieci chińskie, co piszą pendzelkami, są za górami, za morzami. U nas dzieci pendzelkiem malują, a piszą tylko piórem. I jak chcą, to umieją pisać bardzo ładnie, tak jak Lodzia z drugiej ławki.

Ale pióro nie dało się pocieszyć.

Aż tu Tosia znalazła radę. Namalowała pendzelkiem podwórko, budę pieska i gąski, a piórem wszystko pięknie opisała, co tylko było na obrazku, i już teraz jest zgoda.

Pudełeczko — podnieś wieczko!

Dzisiaj miała być lekcja robót.

Wyglądam z piórnika, patrzę, a tu znowu koło nas stoi jakieś pudełeczko.

To pudełeczko było jeszcze ładniejsze, niż nasz piórnik i niż pudełko z farbami. Całe w kwiateczki!

Co tam może być w środku? Pewno cukierki! Więc pobiegłem do niego, zastukałem i mówię:

— Pudełeczko! pudełeczko! podnieś wieczko.

A w pudełeczko zrobił się gwałt i cieniutkie głosiki krzyczą:

— Nie otwierać! nie otwierać, przyszli nas stąd pozabierać!...

Aż tu przyszła Tosia i — myk! pudełeczko otworzyła... Ja patrzę, a tam w środku nie cukiereczki, tylko takie jakieś dziwne rzeczy...

Jakiś świecący kapelusik (zupełnie jakby dla mnie) cały w dołeczki — więc się go pytam:

— Fiku, miku, kto jesteś, kapelusiku?

A kapelusik się nasrożył i krzyknął:

— Ja jestem imć naparstek, pancierz wspaniały ze stali cały! Beze mnie igły jak osy pokłułyby palce Tosi! Pokłułyby jej paluszki, że spuchłyby, jak poduszki. A jak się Tosi palec w naparstek ustroi, to się najgorszej igły — ni trochę nie boi.

A tu naraz w takiej zielonej rurce robi się gwałt i cieniutkie głosiki brzęczą:

— Co on gada, ten szkarada? Igły, najlepsze pracowniczk! Kto szyje Tosi spódniczki? Kto reperuje majteczki, jeśli nie igieleczki?!

A tu gruba, pękata jejmość z kąta woła:

— O co znowu w igielniku tyle gwałtu, tyle krzyku?! Niechaj mi tu nikt nie świeci, że igła szyje bez nici! Czy sukienka, czy koszulka, zawsze pierwsza nici szpulka! A gdy się nici wywiną, to też wesoła nowina! zostanie szpuleczka na kółka do wózcza!

A igły swoje:

— Nie pomoże szpulka cała, gdyby się igła złamała.

Byliby się tak przekomarzali bezkońca, a tu Tosia — myk! nadziała naparstek!

— smyk, nawlekła igłę nitką i — szach! mach! zaczęła szyć, że aż strach!

Historja niewesoła wcale, jak do klasy przyszły lale.

Dzisiaj rano śpię sobie na wycieracze od pióra i śni mi się, że scyzoryk tańczy polkę z gumą-myszką, a tu mnie ołówek w bok trąca:

— Zobacz, Plastusiu, co się w klasie dzieje!

Wyglądam z piórnika: — Świat się do góry nogami przewraca! Na mojem miejscu koło kałamarza siedzi nasza lalka Petronela — Tylko jej tu brakowało! Rozparła się, nos do góry i siedzi, więc ja do niej:

— Petronela, skądś się tutaj wzięła?

A ona się napuszyła, przymrużyła oczy (bo ona umie oczy zamykać i jest z tego bardzo dumna) i mówi:

— Przyjechałam w teczce z książkami!

Ta Petronelka to pani wielka, siedzi w lalczywym pokoiku za piecem na zielonej kanapie (z pudełka od papierosów), rozpiera się i nosa do góry zadziera. Słuchają jej murzynki, słuchają jej golaski, słucha jej misio, ani nie mruknie, a Petronela tylko się rozpiera na zielonej kanapie z pudełka od papierosów i wszystkim rozkazuje.

Więc ja się jej pytam:

— A pociś tu przyjechała?

— Bo się dla mnie nowa suknia szyje!

— A jakże, tere-fere-kuku! w klasie będą dla ciebie suknię szyli, tylko tego brakowało!

— A właśnie, że będą, zaraz zobaczysz — wrzasnęła Petronela.

Ja patrzę, a tu Tosia wyjmuję z teczki to pudełeczko w kwiateczki i całą furę gałganków...

Ale co to za gałganki! same jedwabne, czerwone i zielone, i niebieskie, w kwiateczki, w kropeczki, w paseczki i w krateczki...

Myślę sobie — koniec świata — jak ta Petronela dostanie taką piękną suknię, to nosa zadrze na sam czubek pieca! To nie mogłaby Tosia mnie takiego ubranka uszyć... Te czerwone kwiatki akuratby do mojego nosa pasowały. A to wszystko dla tej napuszonej Petroneli...

Pytam się jej znowu:

— Ale dlaczego ty przyszłaś do klasy na szycie sukienki?

A ona oczy przymrużyła i mówi:

— Bo wszystkie lalki przyszły!

Rozejrzałem się po klasie i aż podskoczyłem.

— Koniec świata! Na wszystkich ławkach rozpierają się lale. Wszystkie wyczesane, z kokardami większymi niż one same, postrojone. Ponapuszały

się jak sowy i siedzą na ławkach przed dziewczynkami, a jedna na drugą zerka, która ładniejsza. Lale wstrętne.

Myślę sobie, lepiej iść spać do piórnika, niż na to wszystko patrzeć...

O Klarci ze szmatki i o sukience w kwiatki.

Już miałem iść spać do piórnika, żeby na te lale nie patrzeć, aż tu widzę na Lodzinej ławce siedzi sobie lalusia taka malutka, mało co większa ode mnie, troszkę krzywa w pasie, przekrzywiona na jeden boczek, z noskiem jak kartofelek, siedzi sobie cichutka i zawstydzona.

Więc ja zaraz do niej i pytam:

— Z czego ty jesteś?

— Ja, z gałganków...

— A kto cię zrobił?

— A Lodzia.

— A jak ci na imię?

— Klarcia.

— A ty z czego jesteś?

— Ja, z plasteliny.

— A kto cię zrobił?

— A Tosia.

— A jak ci na imię?

— Plastuś.

I zaraz bardzośmy się polubili i wszystkośmy sobie opowiedzieli.

A tutaj Honorka z trzeciej ławki mówi do Tosi:

— Patrz, jaką Lodzia ma brzydką, szmaccianą lalkę i szyje dla niej taką paskudną, burą sukienkę. To wcale nie warto.

A Lodzia szyła dla Klarci sukienkę z takiej burej szmatki i jak to usłyszała, to się rozplakała. Więc Tosia okropnie się rozzłościła na tę Honorkę i powiedziała, że „właśnie warto” i zaraz oddaliśmy dla tej Klarci połowę naszego najładniejszego kwiatkowego materiału.

A nasza Petronela wcale nie żałowała, jeszcze tylko sama pomagała nam wybierać, który jest najładniejszy, śmiała się i mrugała oczami do Klarci.

Ta nasza Petronela to jest widać nienajgorsza, tylko poco się na zielonej kanapie z pudełka od papierosów rozpięra, nosa do góry zadziera i wszystkim rozkazuje?

A potem tej Honorce było bardzo żal i chciała zaraz Łodzi oddać własną lalkę, ale Łodzianka nie chciała, powiedziała, że woli swoją szmacianą Klarcie.

Więc się tylko wycęlowały i wszystko było dobrze.

A potem Klarcia miała najładniejszą sukienkę ze wszystkich lalek: zieloną w czerwone kwiatuszki!

O tem, co zbroił Jacek i o nosie jak placek.

Dzisiaj rano czekamy, kiedy Tosia nasz piórnik włoży do teczki, a tu nic...

Stoimy i stoimy na stole.

Wszyscy są tem rozdrażnieni.

Guma-myszka piszczy mi nad uchem:

— Oj! oj! oj! co to się stało? Już dawno zegar wybił ósmą! Słyszę, że scyzoryk i stalówki aż zgrzytają z niecierpliwości.

Tylko ja sobie z tego nic nie robię. Myślę sobie: nie pójdziemy do szkoły, to nie. Przynajmniej się porządnie wyśpię... i przewracam się na drugi bok.

Aż tu nagle coś koło stołu: tup... tup... tup... Ktoś nagle szarpnął piórnikiem i trrrrach — tararach! leżymy wszyscy na podłodze.

Ja klapnąłem tak, że z pewnością mam nos spłaszczony jak placek (trzeba się będzie w stalówce przejrzeć), guma-myszka zaskakała aż w najdalszy kąt pokoju, a stalówki, pióro, ołówek, scyzoryk — wszystko to się rozsypało po podłodze. Awantura!

Strach nas obleciał na dobre.

To Jacuś, brat Tosi, do nas się dobrał.

Oj, źle z nami, źle!

Ten Jacuś jest malutki, ale my się go okropnie boimy, bo każdemu dokuczy.

Jak nas gdzie dopadnie, to zaraz się do nas zabiera.

Raz mnie rozwałkował na placuszek swoim klockiem — ledwo mnie Tosia odratowała. (Żeby tak jego kto rozwałkował, toby dopiero wrzeszczał!) Raz mnie wrzucił do miednicy z wodą, żebym się napił. (Żeby tak jego kto wrzucił

do miednicy z wodą, zobaczyłbym, coby mówił...) A raz mnie wysmarował czekoladą, żebym był murzynkiem...

Więc Tosia po tem wszystkim nigdy nie chciała przy tym Jacku otwierać piórnika.

Aż tutaj taka awantura!

Przycupnąłem za nogą od krzesła i patrzę, co się dzieje?

A tu nasza Tosia leży w łóżku z owiązanem gardłem. Więc się zaraz domyśliłem, że Tosia jest chora i dlatego nie poszła dzisiaj do szkoły.

O wyprawie cudnej na wyspy bezludne.

Tosia na szczęście usłyszała, że Jacuś upuścił piórnik na podłogę i zaraz kazała nas pozbierać i przynieść sobie do łóżka.

Więc Jacek krzywił się, ale zbierał wszystkich pokolei.

Jak mnie zobaczył za nogą krzesła, to złapał mnie za nos i zaniósł do Tosi.

Ten Jacek to żadnego szacunku dla mnie nie ma.

Tosia ucieszyła się, jak mnie zobaczyła i zaraz zaczęła się zabawa.

Przy Tosi łódeczku siedziała Lodzia i jedna taka ciocia, co ma czerwony beret.

Ta ciocia przyniosła Tosi dwie pomarańcze.

Pomarańcze zaraz się zjadło, a ze skórek pomarańczowych Lodzia zrobiła śliczne łódeczki z żagielkami. Tosi kołderka to było morze, które czasami bardzo mocno falowało. Ja byłem kapitanem, a guma-myszka majtkiem i Jacek nas woził w dalekie ciepłe kraje, na bezludną wyspę z Tosinego jaśka. A na tej wyspie mieszkała żyrafa i dwa murzynki z celuloиду.

Ale guma-myszka była nic nie warta na majtka, bo za gruba i nie umiała wspinać się na maszty, i jak tylko morze trochę się zakołysało, to zaraz chlup! do wody. Więc Lodzia wzięła włóczkę i porobiła strasznie śmieszne panny z włóczki, co miały powiązane rączki i nóżki i nastroszone spódniczki.

I zaraz zaczęło ich być wszędzie pełno.

Pchały się do łódeczek, przechylały je, wdrapywały się na maszty, piszczały, spadały do wody, topiły się i Jacek musiał je ratować. Wreszcie dojechały do bezludnej wyspy i tam z murzynkami urządziły bal.

A potem była burza morska, podniosła się taka wichura i bałwany, że aż mamusia Tosi przyleciała i powiedziała, że jak kogoś gardło boli, to nie może być burzy morskiej, tylko płukanie gardła i spokojne leżenie w łóżku. Więc burza zaraz ucichła i panny z włóczki musiały iść spać do pudełeczka po czekoladkach — dobrze, że nie do piórnika...

O kwiatach w szkole i o kaktusie, co kole.

Wczoraj pani mówiła pogadankę o tem, że śniegu jest mało, że w ogrodzie smutno, na podwórku smutno, na skwerku smutno, bo szaro, nie zielono...

Potem pani powiedziała tak:

— Jakby to dobrze było mieć w klasie trochę kwiatów w doniczkach.

A na to dziewczynki zaraz się wyrrywają :

— Proszę pani, to ja przyniosę mirt!

— A ja przyniosę primulkę!

A Bronek zaraz się przedrzeźnia:

— A jakże firt... firt... przyniosą primulkę i mirt!

— Właśnie, że przyniesiemy!

I dzisiaj rano wpadają dziewczynki do klasy, a prawie każda dźwiga w gazecie doniczkę.

Joasia przyniosła kwitnącą primulkę. Lodzia przyniosła mirt, każda, co tam mogła. Nawet ten „nowy” chłopiec Adrjan, co siedzi pod oknem, przyniósł kaktusik. I myśmy też przynieśli kaktusik. Taki śmieszulek pękaty jak beczułka. Wyjęła go Tosia z teczki, postawiła na ławce i poszła pomagać Joasi odwijać z papieru primulkę, żeby się kwiaty nie połamały.

A tu tymczasem panny z włóczki zaczęły wyłazić z teczki. Tych panien z włóczki to wszędzie pełno. Ciągle im nowe figle w głowie. Jedna wpadła dziś do kałamarza i zamieniła się na murzynkę. Jedna zrobiła sobie huśtawkę na Tosi guziku. Jedna się przykleiła do gumy arabskiej. Aż głowa puchnie od tego wszystkiego! (Nie wiem, poco Tosia nosi te wiercipięty.) Zobaczyły kaktusik, krzyku narobiły:

— Co to? Czyj to domek? Akurat jak dla nas!

I dalejże się gramolić na doniczkę. Ja też słyszałem, że czasami w kaktusach mają mieszkać takie malutkie ludziki, jak ja, ale nie będę wszędzie pakował swojego nosa.

A one wgramoliły się na doniczkę i — stuk... puk... w kaktusik.

— Kto tam mieszka?

Oj! pokłuły się, krzyku, pisku narobiły i pospadały na ławkę. Tylko jedna zaczepiła się o kolec i została na kaktusiku.

Tosia prędko kaktusik zaniosiła na okno.

Wchodzi pani... a tu na oknie zielono, a tu na oknie wesoło... a tu na oknie jak w maju!

Pani aż się za głowę złapała, jak zobaczyła tyle kwiatów...

— Oj! ile kwiatów! Jakie ładne! Primulka kwitnie... Co to? I kaktusik kwitnie? Podchodzi pani bliżej, a to na kaktusiku nie kwiatek — tylko panna z włóczki! Cała klasa aż się trzęsła ze śmiechu!

Panna z włóczki wstydu się najadła i wróciła do nas jak niepyszna. Ja jej też na nosie zagrałem, bo poco się wszędzie wpycha, gdzie jej nie proszą...

A potem pani powiedziała, że przynieść kwiatki, to jeszcze za mało — teraz trzeba się nimi opiekować jak dziećmi. Trzeba kurz ścierać z listków i spryskiwać kwiaty wodą. I trzeba wystrugać drabinki, żeby się miały na czym oprzeć, i łopatką do przekopywania ziemi, żeby była zawsze pulchna.

Ale opiekować się kwiatami nie mogą wszyscy razem, trzeba wyznaczyć dyżury. Porządkowe i tak mają dużo roboty.

Więc rada w radę, uradziliśmy, że będzie dyżurna kwiaciarka, tylko trzeba jej dać jakąś odznakę. Ale jaką? Jedni wołali, że czerwone kwiatki, inni, że kokardki, a Walerka zawołała:

— Dać pannę z włóczki, kiedy taka do kwiatka ciekawa!

Wszystkim się to najlepiej podobało, nawet chłopcy zaczęli wołać, że i oni też chcą być kwiaciarzami i mieć pannę z włóczki jako odznakę.

Więc pani się ucieszyła i zaraz wybrała na dyżurnego tego Adrijana, co przyniósł kaktus i przypięła mu do boku najmniejszą pannę z włóczki.

A te inne o mało nie popękały z zazdrości.

Historja cała o porządku i o strzałach.

W tym tygodniu Tosia z Joasią są porządkowe.

To bardzo przyjemnie być porządkową. Jak tylko lekcja się skończy, to zaraz wołamy grubym głosem, żeby wszyscy wychodzili na korytarz. A jak już nikogo w klasie niema, to Joasia z Tosią otwierają okna, zamiatają i ścierają ślicznie z tablicy, a Adrian podlewa kwiatki.

Dzisiaj obszedłem z Tosią całą klasę, żeby sprawdzić porządek. Wszędzie było dość porządnie. Oj! ale co się tam działo pod ławką tego Bronka i tego Antka!

Tarzały się tam łupinki od pestek i skorupki od jajek, i kule zgniecionego papieru! A na szlaku nad ich ławką był narysowany chłopak i mysz, i szczur i było napisane: „Pan Antoni myszy goni, szczury łapie po pułapie”.

Tosia musiała wziąć swoją gumę-myszkę i długo to wszystko ścierać, bo jakby pani zobaczyła, toby się okropnie na tych chłopców gniewała!

Gdyby tak było u wszystkich dzieci, toby klasa wyglądała jak śmietnik!

Tosia zmiotła to wszystko i wyrzuciła do kosza, a strzały z papieru pozbierała i schowała Bronkowi do kasetki.

Ledwo się pauza skończyła, a tu ten Bronek leci do swojej ławki i wrzeszczy:

— Tośka, gdzie moje strzały? Widzicie ją, złapała mi moje strzały!

Więc Tosia mówi, że są w kasetce. To ten Bronek zaczął się przedrzeźniać!

— Tosia porządkosia... Tosia — porządkosia... i strzelił Tosi w sam nos taką strzałą.

To taka sprawiedliwość na tym świecie! Żebym ja był większy, tobym się z tym Bronkiem rozmówił!

Przecież Tosia mogła te głupie strzały wyrzucić, a ona je pozbierała i pochowała! Brzydki łobuziak!

A potem ja chciałem być porządkowym w piórniku. Wołałem grubym głosem, żeby wszyscy wyszli na pauzę — ale im się ani śniło.

Guma-myszka zapiszczała, żebym się nie rządził jak szara gęś!

To wszystko z zazdrości, bo sama chce być porządkową.

Więc się obraziłem i poszedłem spać do swojego pokoiku.

Jak nie chcą, to niech nie mają porządkowego i już!

O tem, jak kreda wytrzeć tablicy nie da.

Tosia jeszcze jest porządkową.

Przynieśliśmy z domu świeżo wyprane ściereczki do tablicy. Najbardziej Tosi zazdrościłem ścierania z tablicy. To tak przyjemnie: szach — mach... i zabazgrana tablica robi się czarniutka!

A Tosia widocznie wiedziała, że ja mam ochotę ścierać tablicę, bo mi dała taką malutką ściereczkę z gałganka i posadziła mnie w rowku przy tablicy, tam gdzie mieszka kreda.

Więc ścierałem, ścierałem: szuru... buru... szuru... buru! ile tylko sił, aż ta kreda łypała na mnie jednym okiem i za boki się brała ze śmiechu, że o mało się nie pokruszyła, i przechwalała się, że ona, kreda, wytrzeć tablicy nie da i zaraz znowu wszystko zabazgrze.

My się kłócimy, a tu wchodzi pani od rachunków. Tosia pobiegła na miejsce, nie zdążyła mnie zabrać z tablicy. Więc się bardzo zląkłem.

Pani długo dzieci pytała, a potem powiedziała, że napisze na tablicy trudne zadanie klasowe.

Pani podeszła do tablicy i wzięła mnie do ręki zamiast kredy, bo przy ścieraniu tablicy cały się ubieliłem.

Pani chce mną pisać, przyciska mnie nóżkami do tablicy (dobrze, że nie nosem), a tu ani rusz! Spojrzała pani na mnie i jak się nie zacznie śmiać! Wcale nie wiem, dlaczego się ta pani tak śmiała? Młynarz jest biały, a nikt się z niego nie śmieje.

I Tosia musiała wszystko o mnie opowiadać i zeszła reszta godziny, i nie było czasu na zadanie.

Więc po dzwonku wszystkie dzieci się do mnie zbiegły i dziękowały mi, i wołały:

— Niech żyje Plastuś, zuch Plastuś!

Nawet ten Broniek poklepał mnie po nosie i powiedział: — Plastek! morowy z ciebie facet!

Więc potem, jak wróciłem do piórnik, to się ich, tych w piórniku, tylko zapytałem:

— No co, słyszeliście?

— A oni powiedzieli, że nie słyszeli, ale pewno dobrze uszyska nadstawiali.

Jak się ze mną poznali ci, co w książkach mieszkali.

Dzisiaj to był dobry dzień, bo Tosia wydawała książki. Ale, prawda, zapomniałem napisać, że nasza klasa to ma własną bibliotekę.

Ta biblioteka to jest taka ładna, że nie wiem i duża! Chyba z pięć razy większa od naszego piórnika.

Wszystkie książki w bibliotece są obłożone w niebieski papier i mają zakładki z niebieskiej tasiemki. Niektóre książki to są bez obrazków, ale inne to mają takie śliczne obrazki, że chciałbym je cały dzień oglądać!

W jednej książce to są tacy braciszkwowie jagodowi i siostrzyczki borówczanki z lasu i oni jeżdżą w prawdziwego szczurka (nie w... gumę-myszkę), prawdziwym wózkiem (nie takim z pudełka od zapalek).

Ja ich prosiłem, żeby mnie zabrali. Oni się zgodzili i zawołali: prrrrr... i szczurek stanął. Już miałem wsiąść i pojechać z nimi do tego ich jagodowego kraju... Ale spojrzałem na Tosię i zrobiło mi się strasznie żal i zostałem.

A potem przyszedł jeden chłopiec, Antek, i przyniósł książkę bez okładki. Tosia bardzo się gniewała i mówiła, że nie wolno z książek zdejmować okładek, bo się niszczą, bo te książki kupili dla siebie wszyscy razem i wszyscy o nie dbać muszą.

Ja wcale nie wiem, dlaczego Tosia tak się gniewała? Bo ja to byłem bardzo zadowolony, że ten chłopiec zdjął ten papier, bo tam na tej książce był śliczny obrazek na okładce. Na tym obrazku był taki duży chłopczyk jak Tosia i rozmawiał z takim maciupeńkim ludziczkiem jak ja. Jak go zobaczyłem, to go ucałowałem i zapytałem, jak się nazywa, a on zawołał:

„Jestem ci bardzo rad, a nazywam się Skrzat”.

A ja mu powiedziałem, że się nazywam Plastuś i zapytałem go, gdzie mieszka, a on powiedział, że w Wojtusiowej izbie, a ja, że w Tosinym piórniku... I już nic więcej nie zdążyliśmy sobie powiedzieć, bo Tosia wzięła książkę i obłożyła w nowy niebieski papier...

A potem pani nasza przysła i czytała dzieciom taką piękną historję o sierotce Marysi, o gąskach i o lisku i potem ktoś kogoś zjadł, tylko nie wiem, czy lisek gąski, czy gąski liska, bo okropnie płakałem. Ale potem krasnoludki, takie

malutkie jak ja, pomogły Marysi i wszystko było dobrze! Oj, jak ja lubię czytać książki z obrazkami!

O tem, jak od Łodzi dostałem samochodzik.

Dzisiaj rano myślę sobie: jakie te siostry borówczanki i braciszkanie jagodowi szczęśliwi, że mają taki śliczny wózek i mogą nim jeździć.

A tu niespodzianka!...

Ale muszę opisać wszystko od samego początku.

My przynosimy zawsze ze sobą do klasy drugie śniadanie.

To drugie śniadanie siedzi sobie w kąciku teczki i bardzo się boi, żeby go książki nie zgniotły.

Ale nasze książki leżą zawsze w teczce równiutko i nikomu jeszcze nie zrobiły krzywdy.

Drugie śniadanie jest zawinięte w białą bibułę i w śliczną serwetkę.

Tych serwetek jest aż cztery — na zmianę.

Na jednej wyszyte są dwa kogutki, co mają żółte butki.

Na drugiej zające, co skaczą po łące.

Na trzeciej samochodzik czerwony, co jedzie w dalekie strony.

A na czwartej ja — Plastuś.

To jest mój portret. Mam na tym portrecie śliczne odstające uszy i piękny czerwony nos.

Koleżanki Tosi nie mogą się napatrzeć na te nasze serwetki.

Łodzi to najbardziej ze wszystkiego podobał się ten czerwony samochodzik.

Więc myśmy jej zrobili niespodziankę...

Wzięła Tosia płótna, kolorowych nitki z kwiatkowego pudełka. Szyła, szyła, uwijała się.

Wyszyła na serwetce czerwony samochodzik i dała Łodzi w prezencie.

My dzisiaj przychodzimy do klasy, a tu na naszej ławce koło kałamarza stoi takie malusieńkie czerwone auto.

To auto dla mnie Łodzia zrobiła.

Ono było podobno z pudełka od zapalek, ale było oklejone czerwonym papierem i miało kółka ze szpulek.

Tak się ucieszyłem, że sam nie wiedziałem, co robić z radości.
Zaraz wsiadłem do tego auta i zacząłem jeździć po całej ławce.
Jak ci z piórnika zobaczyli, to podnieśli ogromny krzyk, że i oni chcą jeździć autem.
Guma-myszka dalej się pchać, ale jej nie wziąłem, bo zagruba, rozsadziłaby mi auto.
Ołówek chciał się przejechać, ale go nie mogłem zabrać, bo zadługi — fiknąłby zaraz z auta.
A tutaj zwiedziały się o mojem aucie panny z włóczki, więc pisku narobiły i dalej się tłoczyły po swoim do samochodu.
Ale ich nie zabrałem, bo zaraz powylałyby z auta i byłoby nieszczęście.
Wziąłem tylko jedną stalówkę, co bardzo porządnie umie pisać i nigdy kleksa nie zrobiła w zeszytach, niech się przejedzie.
Zresztą jak guma-myszka trochę schudnie i ołówek zmaleje, a panny z włóczki zmadrzeją, to może ich kiedy przewiozę.
To moje auto jest jeszcze ładniejsze od tego wózka, co nim jeździły siostry borówczanki i braciszki jagodowi w tej książce.

Kogo się pantofel boi i o tem, co Fikuś nabroił.

Mamy w domu nowego pieska. Ten piesek nazywa się Fikuś. Fikuś jest taki śmieszny, że wcale nie można wytrzymać. Trzeba się tylko okropnie pilnować, żeby nie spaść ze stołu, bo Fikuś wszystko tarmosi.
Najwięcej to się go boją pantofle. Te pantofle to są bardzo biedne, bo Tosia i Jacek często nie chowają ich do szafki, tylko zostawiają na podłodze.
Biedne pantofle wpychają się jak mogą najdalej w kącik pod łóżkiem, ale Fikuś zawsze je wypatrzy. Rzuca się na pantofel, chwyta za piętę.
— Wrrr.... wrrr! Ja ci tu pokażę!.... Wrrr.... ja ci tu sprawię! — warczy i przewraca oczami.
A biedny pantofel mdleje ze strachu i zwisa nosem aż do ziemi. Czasami, jeżeli wejdzie do pokoju Mruczek, to Fikuś — buch! ciska pantofel na środek pokoju i — hopsasa! skacze do Mruczka.
Ale Mruczek to nie pantofel! Oho!

Nasroży się, grzbiet wygnie, parsknie parę razy i bęc!.. bęc! Fikusia po mordce.

Ale dzisiaj to Fikuś zrobił dużą szkodę. Do nas przychodzi teraz na obiady Lodzia.

Przyszliśmy ze szkoły i dziewczynki zdjęły palta i czapki. Lodzia chciała powiesić je w przedpokoju, ale Tosia powiedziała, że ma wieszadło urwane i że niewarto. Cisnęły wszystko na krzesło i poszły na obiad.

Ja siedzę sobie na piórniku, patrzę, a tu leci Fikuś!... Wspiął się na krzesło, obwąchał ubranie — haps! złapał czapkę Lodzi i dalejże ją tarmosić i szarpać, i warczeć. Ja zacząłem wołać:

— Ratunku! ratunku!.. ile tylko sił, ale nikt nie słyszał. Mruczek akurat nie wszedł do pokoju, a czapeczka nie jest taka twarda jak pantofel. Kiedy dziewczynki przyszły odrabiać lekcje, to z Lodzi czapeczki zostały tylko strzępy. Tosia się rozplakała, bo to ona nie dała Lodzi powiesić ubrania. Jak to dobrze, że ja mam kubraczek z plasteliny, przyrośnięty do siebie, to najwygodniej. Ale gdybym miał ubranie osobno, to zrobiłbym sobie wieszadło z ołówka i z pluskiewek, a ramiączka ze stalówek i takby wszystko wisiało pięknie, że to ha! Żaden Fikuś nie podarłby mi czapki. Ale wszystko się dobrze skończyło, bo mama Tosi zrobiła zaraz dla Lodzi szydełkiem nową czapeczkę, a z resztek zrobiły dziewczynki na moje utrapienie jeszcze więcej panien z włóczki.

Bawimy się w chowanki — same niespodzianki.

U nas w domu jest teraz bardzo wesoło, bo Lodzia przynosi ze sobą lalkę Klarcie. Po obiedzie wszyscy razem uczymy się lekcji, a potem się pysznie bawimy do wieczora.

Dzisiaj tośmy się uczyli z takiej niebieskiej nowej książeczki wierszyka o gałgankowej lalczce. Tam było tak:

Ta lalczka gałgankowa wciąż się Jagnie gdzieś chowa...

Było jeszcze o tym, jak się ta lalczka chowa do popielnika i do mysiej norki, i w różne miejsca. Nam się to okropnie! podobało i zaraz zaczęliśmy wołać z Klarcia, że i my też chcemy się chować.

Więc była zabawa w chowanego.

Raz się chowała Klarcia, a raz ja.

Ale ja się lepiej chowałem, bo jestem mniejszy i nie mam czerwonej sukni w zielone kwiateczki, to mnie nie widać.

Chowałem się w różne miejsca: za książki na półce, za doniczki z kwiatkami, pod kanapę Petronelki, a Tosia mówiła: ciepło... ciepło... zimno... zimno, a Lodzia szukała.

Ale raz schowałem się za jakiś koszyczek, co stał w kąciku. Myślę sobie: tu mnie nikt nie znajdzie! Nawet czubka nosa nie widać. Stoję cichutko, czekam...

Tosia ciągle powtarza: zimno... zimno... ciepło... ciepło...

A tu się ktoś skrada pocichutku i łaps mnie w pół! i hops do góry!

Ojej! co to było! Bęcnałem na środek pokoju, pogubiłem oba pantofle, rozplaszczylem sobie nos o podłogę!

To ten nasz szkaradny Mruczek! Myślał, że chcę się z nim bawić, bo stanąłem koło jego koszyczka.

A Tosia się śmieje, że Mruczek mnie prędzej znalazł niż Lodzia.

Z Klarcia to było jeszcze lepiej.

Usiadła pod kwiatkiem na brzegu doniczki, a że jest troszkę krzywa w pasie, przechyliła się na jeden boczek i chlup! wpadła do akwarjum ze złotymi rybkami, co tam pod nią stało.

Oj! rybki się poprzelękały, myślały, że to wieloryb. Klarcia się zamoczyła całutka. Trzeba ją było suszyć na sznurku przy piecu.

Takie były pyszne chowanki aż do kolacji.

O sreberku, o złocie i o wesołej robocie.

Co się u nas działo na stole w dzieciennym pokoju, to trudno opowiedzieć!

Leżały tam gwiazdki złote, ładniejsze niż na niebie, papier i bibułka we wszystkich kolorach i całe arkusiki aniołków pozrastanych skrzydełkami. I leżały wydmuchane jajka, i pocięte słomki, i szyszki z parku, i sreberko, i złotko, i nie wiem już, co więcej. Co z tego będzie?!

Panny z włóczki plondrowały w tem wszystkim i wszędzie się pakowały, gdzie nie trzeba. Smarowały się klajstrem i złościły złotkiem...

Tosia, Lodzia, Joasia i Jacek lepili łańcuchy i dzbanuszki, pajączki i różne inne rzeczy, a myśmy byli w pogotowiu. Nasz piórnik stał zamknięty, a zaraz koło nas stało otwarte to kwiatkowane pudełko, w którym mieszkają igły, nici i naparstek, i nożyczki.

Ja stałem sobie na straży na piórniku i dawałem sygnały:

— Uwagaaa!! Joasia potrzebuje nożyczek!

— Hallo!! Jacek potrzebuje scyzoryka!

— Baczność!! Lodzia potrzebuje ołówka!

I wszystko zaraz leciało pomagać komu trzeba, jak pogotowie ratunkowe.

Nożyczki ciachały, scyzoryk krajał, a ołówek rysował, aż trzeszczało...

Wszystko się pchało do pomocy, a jakże, ledwo to to utrzymałem w piórniku: gumę-myszkę i stalówki, i pióro. Musiałem tłumaczyć, że pogina, albo kleksów narobią.

Tylko z pannami z włóczki nikt sobie nie mógł dać rady. Czepiały się pajączków, huśtały się na łańcuchach, wskakiwały do dzbanuszków z jajek, fikały koziołki na szklanych kulach.

Wiercipięty nieznośne!

Ale poco myśmy tyle tych ślicznych rzeczy robili? Pewno będzie jakaś niespodzianka!

Dobra nowinka — w szkole choinka.

Dziś rano na pierwszej lekcji śpię sobie spokojnie z wycieraczką pod głową, a tu mi ołówek krzyczy nad uchem:

— Słuchajcie! Słuchajcie! Jakies dziwy się w klasie dzieją! Rysowała mną Tosia kółko na różowej bibułce! Dzieci krają słomę na kawałki i nawlekają kolorowe paciorki!

Wszyscy tacy ciekawi, że mało piórnika nie rozsada. Do czego też dzieci krają słomę na kawałki?...

Na szczęście Tosia otworzyła piórnik i wszyscy zobaczyli, że na każdej ławce leży bibułka różowa, czerwona i niebieska, i słoma, i paciorki, i złotko, i

srebro. I że każde dziecko ma nożyczki i wszystkie wykrawają gwiazdki i kółeczka z bibułki i nawlekają to wszystko na nitki. Tak jak u nas w domu wczoraj wieczorem.

To przecież jest cudowne i wesołe! Wszyscy się cieszymy, ale nic nie rozumiemy, o co tu chodzi.

Dopiero pióro wyrzało z piórnika i powiedziało:

— Ja wiem, co to będzie. To będzie choinka!

To pióro już z Tosią chodziło zeszłego roku do szkoły i dlatego takie mądre. Wszyscy się okropnie ucieszyli, że będzie choinka, choć nikt nie wiedział, co to znaczy.

A tu Tosia robi czerwone kwiatuszki i przeplata słomą i wiąże takie pajęczki. A Zosia okleja skorupy jajka kolorowym papierem i robi dzbanuszki. A Joasia robi baletniczki w różowych spódniczkach. A ten Broniek z ostatniej ławki robi z Felkiem taki wielki, długi łańcuch z papieru i co trochę zrobi, to koło szyi okręci.

Więc ja usiadłem na wierzchu piórnika i o mało mi oczy nie wyskoczą z ciekawości.

— Co to będzie? Co to z tego będzie?

Aż tu Tosia mówi:

— Wiesz, Zosiu, niech mój Plastuś też wisi na choince! Przebiorę go za krasnoludka!

I zaraz mi dorobiła wielki kaptur i czerwoną kapotę, przewiązała mnie czerwoną nitką i już byłem gotów na choinkę.

Chciałem zagrać na nosie tym z piórnika, że to ja idę, a oni nie, ale nie zdążyłem, bo mnie Tosia zaraz zaniósła i powiesiła na choince.

Ta choinka to jest zielona i pachnąca, i kłująca. Ale na niej okropnie wesoło. Koło mnie paliły się świece: czerwona i żółta. Wisiała wielka niebieska kula, i leciał rajski ptak, i samolot, i skakał piernikowy konik, i tańczyły dwie panny z włóczki.

A potem wieczorem przyszły dzieci z całej szkoły i dostawały dobre rzeczy, i śpiewały, i tańczyły, a najładniej tańczyła moja Tosia.

I my też tańczyliśmy na choince. Potem dzieci dostawały podarunki. Tosia dostała ciepły szalik, śliczny, niebieski w żółte paski, a ja patrzyłem na to zgóry i cieszyłem się.

O tem, jak mnie szkaradnie łobuz z choinki kradnie.

Przez parę dni wisiałem na choince. Z początku było bardzo wesoło ale potem mi się to znudziło.

Zatęskniłem do mojego piórnikowego domku i do Tosi, i do gumy-myszki, a najbardziej do mojego pamiętnika. Bo jak tu pisać pamiętnik, kiedy się dynda na drzewku?

Na choince coraz mniej miałem sąsiadów, bo dzieci pozjadały piernikowe lalki i koniki.

I mnie jakiś łakomczuch chciał zjeść, myślał, że jestem z piernika. Odłamał mi lewą nogę, spróbował, ale na szczęście plastelina mu nie smakowała, więc dał mi tylko prztyczka w nos i zostawił mnie w spokoju.

Aż wreszcie jednego dnia przyszła pani i kilkoro dzieci i zaczęli wszystko zdejmować z choinki. Myślałem, że przyjdzie Tosia i zabierze mnie zaraz do piórnika... ale Tosi nie było!...

Rozglądam się, chcę wołać Tosi, a tu mnie łapie jakiś chłopak i krzyczy:

— A tego fajtusia to ja sobie wezmę!...

Łaps mnie z choinki i przywiązuje sobie do guzika przy kurtce.

Ten chłopak to był okropny łobuz ciągle tylko skakał, podrygiwał i fika koziółki. A co on podskoczy, to ja biedny dyndu... dyndu na nitce, że o mało mnie ta nitka na połowę nie przecięła.

Potem poleciał ze mną na lekcję do klasy. Ale ta klasa była wcale niepodobna do naszej i dzieci były tam większe i nieznośne.

O mojej smutnej doli u Witka w niewoli.

Przez całą lekcję ten wstrętny chłopak mi dokuczał, zamiast uważać, i nos mi rozwałkował jak trąbę u słonia.

Przypomniałem sobie, jak u Tosi zawsze spokojnie, ładnie siedziałem koło kałamarza i płakać mi się chciało. Wreszcie lekcje się skończyły. Myślałem,

że mnie ten chłopak zabierze do piórnika, ale on wcale piórnika nie miał. Pióro uwalane atramentem i złamany ołówek wrzucił do teczki, a mnie cisnął na ławkę i poszedł.

Kto nigdy nie siedział przez całą noc na twardym, wstrętnym pulpicie, zachlapanym atramentem i porzniętym scyzorykiem — ten nie wie, jak to smutno... Wtedy dopiero zrozumiałem, jaka to ważna rzecz ten piórnik i miękka wycieraczka.

Na drugi dzień ten chłopak (wołali na niego Witek) przyszedł i znowu zawiesił mnie na guziku.

Podczas przerwy wypadł z klasy i zaczął biegać po korytarzu. Tego popchnął, temu nogę podstawił, tamtemu język pokazał. A mnie się aż w głowie mąci od tego podrygiwania na nitce...

Nagle, patrzę, a tu drzwi do naszej klasy!... Poznałem doskonale, a na tych drzwiach ogłoszenie wypisane czerwonymi literami. Chciałem przeczytać, ale nie zdążyłem, bo ten Witek rzucił się i popchnął trzy dziewczynki, co szły przed nami.

Dziewczynki rozbiegły się przestraszone, ja patrzę, a to Tosia, Zosia i Joasia... Chciałem krzyknąć, dać znać o sobie, ale nie zdążyłem, bo ten wstrętny Witek pognął jak szalony.

O Witku, o zbytku, o oparzeniu i o Tosi ogłoszeniu.

Ten Witek poleciał ze mną na sam koniec korytarza, aż do umywalni.

Myślałem, że chociaż umyje swoje łapska. Były takie brudne jak u kominiarza. Ile razy mnie brał do ręki, to mi zawałał mój czerwony kubraczek. Ale jemu się ani śniło myć ręce. On tam poleciał psocić po swojemu.

Przy białej umywalce, pod kranem myły ręce mydłem i szczoteczką dwie dziewczynki. Witek wyrwał im mydło i szczoteczkę i chciał im namydlić twarze, ale dziewczynki się nie dały, więc się odwrócił i chciał je ochłapać wodą z kubła.

Wsadził prędko rękę do wody i nagle jak nie wrzaśnie!... To była gorąca woda do mycia podłogi i umywalek.

Oj! co to było krzyku i gwałtu!

Ale potem się zląkł, że dostanie burę o te dziewczynki, więc się uspokoił. Czerwoną, spuchniętą rękę owinął brudną chustką do nosa i powłókł się do klasy, jęcząc cicho.

Kiedy przechodził koło drzwi naszej klasy, zobaczył ogłoszenie. Zaciekawilo go. Stanął i przeczytał. A tam tak było napisane:

Kto mi odda mojego Plastusia to mu dam 4 malowanki i 1 żółtą wstążeczkę

Ten Plastuś jest taki: cały z plasteliny ubrany na krasnoludka

Tosia z I-go oddziału

O tem, jak się to staje, że mnie Witek Tosi oddaje.

Ten Witek przeczytał ogłoszenie, przyjrzał mi się chytrze i mówi:

— Ejże, czy to nie ty, fajtusi? Zaczekaj, wycyganimy od tej sroki, co się da, kiedy cię tak poszukuje... Niech da chociaż scyzoryk i ze cztery stalówki. Za żadne malowanki cię nie oddam, niema głupich!

Chciał mnie schować pod kurtkę prawą ręką, ale syknął z bólu, schował lewą i wszedł do klasy. Nic nie widziałem z pod tego wstrętnego kubraka, ale słyszę głos Witka:

— Czy to ty pisałaś ogłoszenie?

— I nagle usłyszałem słodki głosik Tosi:

— Tak, to ja pisałam.

Jak to usłyszałem, zacząłem się gramolić, ile sił starczyło, do góry, ale nie dałem rady. Jedną nogę mi odgryzł ten chłopak, a ręce mi się rozpląszczyły o grubą kurtkę Witka.

Więc dałem spokój i słucham, co z tego będzie. Tosia mówi:

— Okropnie mi żal mojego Plastusia.

— To czemu tak mało za niego dajesz?

— A co ja więcej mogę dać? Wszystko mi potrzebne...

— A no, pokaż, co tam masz w piórniku? Zobaczymy.

Tosia mu widać podała piórnik, a on go schwycił bolącą ręką, bo aż krzyknął z bólu.

— Co ci jest? — zapytała Tosia.

— Nic, sparzyłem się...

— Pokaż! ojej! jaka czerwona ręka! i bąble się robią! Taką brudną chustką owinięte! To nie można, zrobi ci się zakażenie i rękę ci odejmą... Zaczekaj, ja przyniosę od pani oleju lnianego i bandaż i rękę ci opatrzymy.

Potem coś robili, chodzili. Usłyszałem głos pani, która powiedziała:

— Trzeba teraz koniecznie rękę zawiesić na temblaku. Czy masz, Witku, szalik?

— Nie, nie mam szalika.

I znowu usłyszałem głos Tosi:

— Ja mam szalik, ja mu pożyczę...

Słyszę, jak Tosia gdzieś pobiegła i nagle czuję, że mnie Witek chwyta, wyciąga z pod kurtki i sadza na naszym pulpicie, między moim najmiłszym piórnikiem a kałamarzem.

Patrzę, a tu biegnie Tosia ze swoim ślicznym, nowym szalikiem. Zawiesiła na nim Witkowi rękę, a Witek popokazał na mnie i mówi:

— Masz, weź sobie swojego Plastusia, już ja ci go tak oddam.

Dużo radości i krzyku, że znowu jestem w piórniku.

Więc ten Witek oddał mnie Tosi.

Tego, co potem było, to już nawet ta nasza najładniejsza złota stalówka nie umiałaby opisać.

Tosia posadziła mnie na dłoni i głaskała po głowie i mówiła:

— Mój biedny, malutki Plastuś! — I włożyła mnie do piórnika, żebym się ze wszystkimi przywitał.

Jak mnie w piórniku zobaczyli, zrobił się gwałt i pisk i zgrzytanie z radości.

Wszyscy się ze mną witali, jak tylko kto umiał i żalowali mnie, że taki jestem zabiedzony i brudny.

Guma-myszka i wycieraczka chciały mnie zaraz czyścić, każda po swojemu.

Scyzoryk chciał mi ten długi nos obciąć i oskrobać mnie do czysta. A stalówki

skrzypiały, że mu pomogą. Przyznam ci się, mój pamiętniku, w sekrecie, że się tego wszystkiego trochę bałem, choć bardzo kocham moich przyjaciół z piórnika. Jakby mnie kolega scyzoryk zaczął skrobać, tak jak temperuje ołówki — to ładniebym wyglądał!

Ale na szczęście Tosia wyjęła mnie w tej właśnie chwili z piórnika i sama swojemi delikatnymi rączkami zaczęła mnie leczyć.

Nos mi zrobiła taki ładny, jak dawniej. Doprawiła mi całą lewą nogę, zakleiła to miejsce, gdzie mnie nitka zraniła, i zdjęła ze mnie to szkaradne ubranie krasnoludka.

Joasia zawołała:

— No, już Plastuś zdrowy!

A Tosia posadziła mnie na wycieraczce w moim piórnikowym pokoiku.

Było mi dobrze i wesoło, aż tu nagle przypomniało mi się, jak się pyszniłem, że idę na choinkę, a oni wszyscy zostają w piórniku, i jak im chciałem zagrać na nosie!

A oni teraz tacy dobrzy!

Więc mi się zrobiło bardzo przykro i zacząłem zaraz gumę i wszystkich przeproszać. A oni powiedzieli, że nic nie szkodzi; że oni w domu też mieli choinkę i że przybyły nam na gwiazdkę śliczne, kolorowe ołówki.

Zaraz się z nimi zapoznałem i znowu jest wszystko dobrze.

Znów jestem Plastusiem i nie chcę być niczem więcej.

Chcę już zawsze mieszkać tylko w Tosinym piórniku.